

ZBRODNIEM W KOTLINIE KŁODZKIEJ

HUBERT HENDER

CIEMNOŚĆ



BUKOWY LAS

**CYKL Z KOMISARZEM KRAUZEM
I ASPIRANTEM FIJAŁKOWSKIM**



MILCZENIE

FAŁSZ

POTWÓR

POLOWANIE

CIEMNOŚĆ

Prolog

Kilka dni wcześniej

Zbudził się, ciężko dysząc. Miał poczucie, że się dusi. Oddychał głośno przez kilkanaście sekund. Sięgnął po szklankę, ale była pusta. Spokojnie, to tylko sen, powiedział do siebie, a właściwie senny koszmar. Pamiętał, choć za moment pewnie ta myśl i ta pamięć się ulotnią, że coś go gonilo, a potem zaczęło wydawać z siebie dziwny dźwięk, coś, co przypominało zgrzyt. Odczekał chwilę. Ale kiedy się już przebudził, zdał sobie sprawę, że to nie koszmar go zbudził, lecz odgłos za oknem, który doskonale znał. Odgłos otwieranej bramki. Na samą myśl, że ktoś wszedł na jego posesję, zjeżyły mu się włosy na głowie i przeszył go strach. Serce waliło zbyt mocno. Otrząsnął się, rozejrzał, ale nikogo nie dostrzegł. Niebieskawa poświata z pobliskiej latarni rozświetlała pokój, ścianę, sufit.

Przeszedł się po parterze niedużego domu, a potem wyjrzał przez drzwi tarasowe. Przekręcił żaluzję. Pokój rozbłysnął ponacinanym światłem z zewnątrz.

Nic.

Nikogo.

Wrócił do kuchni, nalał sobie wody i wypił jednym haustem. Płyn był tak zimny, że aż zadygotał. Poczul spływający przez przelyk chłód, a nieleczone od lat zęby przeszły go bólem.

Chwycił latarkę. Włączył ją, ale bateria była na wykończeniu. Potrząsnął nią, uderzył o udo, bo przecież każde urządzenie zaczynało działać od uderzenia, sprawdzony sposób. Zaświeciła niemrawo, zamigłała, jakby chciała mu coś zakomunikować, może to, że już do niczego się nie nadaje, po czym zgasła na dobre niczym silnik, w którym zabrakło paliwa, więc robi ostatni ostentacyjny obrót.

Narzucił kurtkę, wsunął buty i wyszedł na zewnątrz.

Mężczyzna przeszedł się wzdłuż długiego podwórza. Zawołał psa, ale ten nie zareagował. Żadnego szczeknięcia, żadnego innego odgłosu, a przecież dobrze znał swoje zwierzę i wiedział, że powinno już się odezwać.

Otworzył metalową furtkę, ale kiedy pies nie wybiegł mu na powitanie, domyślił się, że coś się musiało stać. Kajzer, wielki owczarek niemiecki, którego miał od wielu lat i przywoził tutaj co jakiś czas, nie wydał żadnego odgłosu. Nie było też jakiegokolwiek ruchu. Podszedł do jego budy.

– Kajzer, Kajzerek. Co się stało, piesku?

Zwierzę nie poruszyło się ani nie zaszczekało. Podszedł bliżej, dotknął go. Z całej siły uderzył starą latarką o psią budę. Zamigłała. Zwierzę nie żyło.

Bez słowa ruszył z powrotem, nerwowo oświetlając podwórze.

Dotarł zdyszany do domu. Zamknął za sobą drzwi. Sprawdził wszystkie okna, potem podszedł do drzwi frontowych, choć nie było czego sprawdzać – przecież zawsze zamykał je na dwa solidne zamki, których nie dało się tak łatwo wyłamać ani otworzyć. Podszedł do sypialni. Rozejrzał się. Czuł, że się zaczęło.

Zaczęło się, powtórzył w myślach. Niby był przygotowany, ale nie sądził, że stanie się to tak szybko.

I że w ogóle się stanie.

Już chciał sięgnąć po leżący na szafce telefon, kiedy usłyszał hałas zza okna. Dochodził od strony podwórza.

Były to kroki. Powolne, spokojne, a zarazem zdecydowane, zupełnie jakby ktoś doskonale znał to miejsce i wiedział, dokąd iść i gdzie ma go szukać.

Z telefonem w dłoni podszedł do dużego okna, za którym skrywała się ciemność. Sięgnął po latarkę i trzymał ją w pogotowiu, choć nie wiedział, czy zadziała.

Czekał.

Oddalona o kilkanaście metrów latarnia dawała niebieskawe światło, nieznacznie rozjaśniając wnętrze parterowego domu. Ujrzał mglisty zarys sylwetki. Nie ruszała się. Nie odzywała. Miał wrażenie, jakby czekała.

Czuł, jak serce wali mu coraz mocniej i coraz głośniej.

Rozejrzał się.

Nigdzie nie widział swojej broni, którą starał się trzymać pod ręką. Namyślał się, co ma robić, ale żadna z opcji nie była dobra. Postanowił włączyć latarkę, by przebić się przez mrok i ujawnić, co tak naprawdę skrywała ciemność.

Włączył przycisk i nagle z ciemności zrobiła się jasność. W tej samej chwili poczuł, jak robi mu się słabo.

1

Parsknął śmiechem tak mocno, że aż opluł sobie brodę.

– Chryste, słyszałeś tę reklamę? Co za chora sprawa.

Czekał, ale nie usłyszał odpowiedzi. Filip zachowywał się, jakby w ogóle nie zarejestrował jego głosu, a przecież siedział w fotelu obok niego. Ścisnął nerwowo kierownicę niczym kierowca wchodzący w ostry zakręt. Tyle tylko że stali w miejscu, a silnik od dawna był wyłączony.

– Pytam, czy słyszałeś.

– Co? Jaką? – zapytał, odrywając wzrok od swojego celu.

– Mówili w radiu, że ten lek na erekcję działa przez trzydzieści sześć godzin. Wyobrażasz to sobie? A w naszym wieku to już trochę wątpliwa kwestia. Trzeba dbać o pewne sprawy. Nie wiem, jak stoisz z interesem... – nie dokończył i spojrzał wymownie.

– Jakim interesem? O czym ty mówisz, do cholery?

– No właśnie o nim – wyjaśnił i spojrzał na swoje krocze. – Wyobrażasz sobie, co to znaczy chodzić trzydzieści sześć godzin ze stojącą pałą? Połykasz tabletkę i po tobie. Aż strach wychodzić z domu w takim stanie. A weź tak przejdź przypadkowo koło szkoły. Od razu by cię zamknęli.

– Boże, ale ty jesteś durny.

– Może, ale za to jaki jurny.

– Może weź lepiej tabletkę na pusty łeb, okej? Najlepiej taką, po której na jakiś czas staniesz się normalny.

– Jestem normalny.

– Nie Igor, obaj wiemy, że nie jesteś – westchnął Krauze.

Igor sięgnął po kolejny kęs kabanosa. Pochłonął już połowę opakowania.

Filip patrzył na ciemny kontur starego domu w odległości blisko stu metrów przed nimi, w pobliżu lasu. Dzieliło ich pole, pasmo niskich krzaków, stara polna droga. Prowadziła do samego domostwa, które wyglądało jak opuszczone. Długa ściana z zabitymi dechami starymi wjazdami dla pojazdów. Przed wielkim budynkiem stał zniszczony kombajn, bronie, siewniki, stare metalowe przyczepy do traktora. Typowa niemiecka gospodarka, w okolicy podobnych było mnóstwo. Przy okazji, musiał przyznać w myślach, idealna kryjówka, by schować się przed światem – utrudniony wjazd, odpowiednio odizolowane miejsce. Żadnych sąsiadów w promieniu kilkuset metrów. Duże zabudowania z ogromnymi stodołami. Więc jeśli chciało się tutaj coś ukryć, można to było zrobić bez większego wysiłku. Wystarczyło mieć łeb na karku.

Czekali na cel. Filip miał już trochę danych z własnych działań operacyjnych. Jego zdaniem była to dziupla, do której złodzieje przyjeżdżali skradzionymi autami. Tutaj samochody czekały na wyciszenie sprawy – dzień, dwa, może trzy dni, lub nawet parę tygodni – a potem szły dalej, do innego kraju, albo wyciągano z nich części. Silnik, tapicerka, wiązki kablowe, fotele, zagłówki, elementy karoserii, koła. Wszystkie numery seryjne części były niszczone, najczęściej spiłowywane, by nie dało się ich zidentyfikować albo przynajmniej bezpośrednio połączyć z kradzieżą. Czasami na jednym aucie dało się zarobić więcej, niż było warte w całości. Wszystko zależało od modelu, zapotrzebowania na części, ich dostępności, jak i obrotowości pasera.

Było ciemno. Sam środek nocy.

Igor zaczynał syczeć z wściekłości. Nosiło go. Nie miał już co jeść.

– Działamy coś? Nie wiemy, czy to nas do czegoś doprowadzi. I czy to ma sens. Chodź, pierdolnę komuś i będziemy wiedzieć, o co gramy i czy dalej to obserwować.

– Po coś tu chyba przyjechaliśmy. Jeśli nie masz ochoty, wracaj do domu. Ja sobie sam poradzę.

Igor prychnął.

– Mogę sprawdzić, jeśli tobie się nie chce. Dam sobie radę.

– Nie – odpowiedział po długim namyśle Filip. – To się wtedy źle skończy. Dla nich albo dla nas. Obserwujemy, potem wracamy.

– Nie bój dupy, załatwimy to, jak należy. Zgodnie z prawem – odpowiedział Igor, nie odrywając wzroku od znajdującego się w oddali zabudowania zatopionego w ciemności.

Filip przypatrywał się mu od dłuższego czasu i z każdą spędzoną tu chwilą miał wrażenie, jakby to miejsce robiło się coraz większe. Zupełnie, jakby pęczniało albo nieznacznie się do nich zbliżało.

– Nie dziś. Na razie tylko obserwujemy. Muszę mieć pewność. Nie mogę spalić tego miejsca. Jeśli to nic nie da, wrócimy tu jutro z termowizją i nieco lepszym sprzętem. Zobaczymy wszystko jak na dłoni. Nie wykluczam, że można tu zamontować jakąś kamerę.

– Nie pieprz – odburknął Igor. Jak zwykle miał na sobie ciemną koszulę w kratkę, spodnie bojówki oraz wrogi wyraz twarzy. Człowiek demolka, kłodzki rottweiler policyjny, jednoosobowy oddział prewencji, osoba, która stoczyła w życiu setki walk, nie wszystkie wygrane, ale wszystkie z zacięciem godnym dobrego boksera. To był jego jedyny talent. Dobre uderzenie. I woła walki, gdy trzeba – walki na śmierć i życie. Reszta była

kwestią przypadku albo odrobiny szczęścia. Nie miał dobrego nosa, nie miał umysłu analitycznego, nie zawsze dobrze łączył fakty, mimo iż w policji pracował niemal połowę swojego życia. Po prostu był upartym gościem, który niemal nigdy nie odpuszczał, co dla wielu było zbawieniem, dla niego samego wielokrotnie przekleństwem.

– Wyjdź i się tam rozejrzyj. Albo ja to zrobię.

* * *

Bezszelstnie wyszedł z samochodu, bo miał już dość marudzenia kolegi. Poczul zapach wilgotnej trawy i podmokłej ziemi. Rozejrzał się, sprawdził pozycję z każdej strony, ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Nie zbliżał się żaden pojazd. Cisza. Spokój. Dokoła mnóstwo zarośli. Ich auto stało tuż na skraju niewielkiego zagajnika. Dalej prowadziła polna droga, łąki, niewielkie pasma dawnych pól uprawnych. Po przeciwległej stronie znajdowało się zabudowanie, czyli ich cel, miejsce, od którego mogli zacząć na dobre swoją sprawę i które dawało nadzieję, że natrafią na jakiś sensowny trop.

Ruszył w tamtą stronę. Co jakiś czas przystawał, sprawdzał pozycję, a potem ruszał naprzód. Po paru minutach powolnego przesuwania się dotarł bliżej zabudowań. Przy tej aurze nikt go nie powinien dostrzec. Chyba że w pobliżu znajdowały się kamery z detekcją ruchu. Wtedy będzie gorzej i nie pomogą mu ciemne ubrania.

Schowany za starą beczką po oleju, obserwował okolicę przez kolejnych parę minut. Nic się nie działo. Nikt go nie zauważył. Ruszył, ostrożnie przysuwając się do zabudowań. Wreszcie odnalazł pozycję, z której mógł się przyjrzeć temu miejscu. Nad drzwiami domu świeciło światło, dzięki czemu lepiej widział otoczone zabudowaniami podwórze. Stały tu dwa samochody,

jeden zwykły stary kombi, chyba Opel, drugi to paroletni model BMW, trochę dojechany. Pełno palet, beczek po olejach, walających się rupieci, stare piły do drewna, skrzynie, stos drewna, wózek widłowy, chyba sprawny, bo z tyłu zamontowana była butla gazowa, która połykiwała odbijającym się światłem, a zatem była dość nowa.

W pewnej chwili ukrył się, bo usłyszał jakieś odgłosy, a zaraz potem zgrzyt otwieranych drzwi wielkiej stodoły.

Wyszedł z nich czarny mężczyzna z maską na twarzy. Miał na sobie kombinezon roboczy. Przystanął i się rozejrzał. Albo przynajmniej takie sprawiał wrażenie, bo przecież przez ciemne okulary spawalnicze nie mógł wiele widzieć. Wyglądał jak dziecię zrodzone przez to przeklęte miejsce, więc niewykluczone, że znał je na pamięć – i wyczuwał każdy kamyk pod twardym roboczym butem. Być może dlatego mógł swobodnie w środku nocy nosić ciemne okulary. Być może rozpoznawał tu każdy szmer, odgłos. Istota z wielkimi czarnymi oczami, które nie wyrażały niczego, zamarła. Patrzył w stronę Krauzego.

Policjant wstrzymał oddech. Ale przecież tamten nie mógł go widzieć. Nie mógł go dostrzec, to niemożliwe. Wydawało się, że trzyma w dłoni ostre narzędzie, może nieduży łom. Chwila przeciągała się, aż wreszcie mężczyzna podniósł maskę, odsłaniając ciemną twarz, zawył głośno niczym wściekłe i zmęczone zwierzę, które poczuło przeszywający ból, splunął przed siebie i ruszył do budynku mieszkalnego.

Kiedy Filip usłyszał trzaśnięcie drzwi, poczuł ulgę. Nie spał się, choć miał wrażenie, że czarna istota mogła go dostrzec.

Analizował. Dwa samochody. A zatem musiało ich być tutaj więcej. Dwóch, może trzech ludzi. Czekał, obserwując okna i drzwi pobliskich zabudowań. Nasłuchiwał, ale nic się nie działo. W ciągu następnych pięciu minut niczego więcej nie usłyszał ani nikt się nie pojawił. Żadnego cięcia, piłowania, uderzania

młotkiem. Zabudowania pograżyły się w całkowitej ciszy, jakby miejsce zastygło w nocnym odpoczynku i szykowało się, wraz z gospodarzami, do snu. Uznał, że tyle wystarczy. Już wiedział, jak to miejsce wyglądało. Na razie bez odpowiedniego sprzętu nie chciał działać. Jutro przyjedzie tu z noktowizorem.

I wtedy ustalą, co dalej.

* * *

– Widzimy się rano na komendzie – powiedział Igor na pożegnanie.

– Albo i nie widzimy – odpowiedział butnie Filip i odjechał.

Aspirant popatrzył z niesmakiem. Filip bywał dziwny, czasami postępował logicznie, racjonalnie, choć wcale niełatwo się z nim rozmawiało, ale miał też w życiu trudniejsze okresy, jak teraz. Igor próbował mu jakoś pomóc, ale poza zdawkowymi słowami, niczego się od niego nie dowiedział. Krauze był inny niż zwykle. Nie chciał się z nim nawet spotkać na piwie, jak dawniej. Nic. Przykro mu było, ale nie miał sił walczyć z jego zaciętością.

Fijałkowski popatrzył, jak za zakrętem znika samochód kolegi, splunął i wszedł do domu. Kiedy przekroczył próg, wyłączył alarm. Po wydarzeniach sprzed ostatnich miesięcy zainstalował lepsze zamki w drzwiach i zamontował alarm. Weroniki i Zuzi nie było w domu, poprzedniego dnia wyjechały i miały wrócić dziś w nocy. Rozejrzał się po pustym parterze. Zajrzał do kuchni, otworzył lodówkę. Była pełna, ale nie było w niej niczego, na co miałby teraz ochotę. Usiadł w salonie, włączył w telefonie aplikację i zamówił burgera z podwójną porcją mięsa. Uśmiechnął się na samą myśl o tym, co go czeka. Włączył telewizor, ale po chwili przełączania kanałów odpuścił, bo nic go nie zaciekało.

Zrobił serię trzydziestu pompek, a potem wziął prysznic. Kiedy po wyjściu zawiązywał na biodrach ręcznik, uruchomił

system bezprzewodowych głośników. W mieszkaniu rozbrzmiała spokojna składanka muzyki relaksacyjnej. Nigdy nie był fanem muzyki, niemal w ogóle jej nie słuchał, lubił ją jedynie za to, że zagłuszała ciszę. Jednak parę tygodni temu trafił w internecie na artykuł o terapeutycznej roli muzyki relaksacyjnej. Z natury był nerwowy, a nawet zbyt nerwowy, co dodatkowo wzmagająca praca w wydziale kryminalnym. Niemał codziennie widział ogrom zła i cierpienia. Obtłukł, walcząc z tym zepsutym światem, setki mord. Miał z tego powodu niemałe problemy. Dziesiątki skarg, upomnień i nagan. Wiele kłótni z szefem, bezpośrednim przełożonym, Janem Byczewskim, naczelnikiem wydziału, z którym żarł się co kilka dni. Docinki i przekleństwa stały się ich językiem codziennym. Kilka razy pozwolił sobie na uwagi i ostre komentarze pod adresem komendanta, Stefana Borka, wieloletniego szefa kłodzkiej policji, za to, że nie działał z taką skutecznością, z jaką mógłby. Igor go szanował, ale tylko do pewnego stopnia. Do stopnia względnego wkurwienia. Od niego też dostał niejedną nagane. Ale miał to w dupie. Robił swoje. Dla niego liczył się tylko jeden cel. Tyle tylko, że musiał się pilnować, bo parę miesięcy temu ostro przegiął i sprowadził na siebie, swoją rodzinę i Filipa wielkie problemy, z których ledwo uszli z życiem. Po skończonej sprawie uznał, że musi na poważnie przyhamować. Robił więc, co mógł, by się wyciszać. Sprzyjał też temu czas względnego spokoju w pracy. Wszyscy wpadli w wir roboty.

Do czasu. Ponad dwa miesiące temu ich atletyczny kolega z wydziału, Dominik Rudzki, z którym pracowali ponad dziesięć lat, zaraz po służbie usiadł na wprost nich. Oznajmił im, że złożył wypowiedzenie i już się więcej nie zobaczą. Powiedział im parę miłych słów, że praca z nimi była dla niego dużym wyzwaniem, sporo się nauczył, czasami dobrze bawił, ale uznał, że to jednak nie jest jego bajka. Nie czuł tego tak, jak czuł sport,

siłownię, treningi, rozpisywanie planów treningowych, planowanie diet. Filip z Igorem po raz pierwszy w życiu zaniemówili. Filip patrzył na niego jak na ducha, a sam Krauze przestał jeść, po czym wypluł na biurko kawałki mięsa, rzucając tylko:

– Że co?

– Sorry, chłopa. Chciałem, byście się dowiedzieli ode mnie, nie z kadr czy z korytarzowych plotek. Jestem wam to winien.

– Jesteś nam winien coś innego.

– Co takiego?

– Byś skończył pierdolić, okej? Pośmialiśmy się, zaskoczyłeś nas, dzięki za dobry żart na koniec dnia.

Dominik Rudzki ścisnął nerwowo masywną zuchwę i pokręcił głową niczym poirytowany profesor widzący studentów, którzy go nie słuchają.

– To nie jest żart, Igor, to moja nieodwołalna decyzja – powiedział jak zawsze z kamienną twarzą. Bo ona faktycznie wyglądała tak, jakby została wyciosana z kamienia kilkoma zdecydowanymi ruchami. Dominik Rudzki, solidny policjant, zapalony kulturysta, powiedział im, że parę miesięcy temu ukończył kurs trenera personalnego i zaczął pracę w nowej siłowni. Powiedział, że będzie miał z tego lepsze pieniądze niż z pracy w policji. To oczywiste, wszędzie lepiej płacili, skwitował w myślach Igor.

– A poza tym tutaj nie chodzi tylko o kasę.

– A o co?

– Po prostu – westchnął z bezradności, ale tylko dlatego, że rozmawiali już o tym wiele razy, podczas siedzenia tutaj czy wyjazdów na miasto. – Nie mam już ochoty babrać się w tym syfie. Kiedyś było lepiej, bezpieczniej. Ale ostatnie miesiące to przegięcie. Nie chcę już tego.

– Dopiero teraz wpadłeś na to, że nasza praca to babranie się w syfie? Teraz się ocknąłeś? Akurat wtedy, kiedy uporaliśmy

się niemal z całym pieprzonym gangiem? Kiedy wsadziliśmy za kraty dziesiątki osób z półświatka? Serio, po takim czymś? – zapytał nieco zbyt nerwowo Filip. Może i zbyt sarkastycznie.

Lubili się, szanowali, stworzyli przez te lata dość specyficzną mieszankę wybuchową ze sporą różnicą charakterów i umiejętności, ale co ważne, stanowili skuteczny zespół, którego nieformalnym liderem był Filip – był z nich najbystrzejszy, zawsze wszystko planował, rzucił pomysły, ale i prowokował do myślenia, kombinowania. Igor był człowiekiem od walenia w ryj. Jednoosobowy wydział prewencyjny. Dominik był pomiędzy – spokojny człowiek do sprzątnięcia po nich syfu, opanowany, z dobrą smykałką do przeszukiwania baz danych. Pozostawał w dobrych kontaktach z szefostwem, lubił – paradoksalnie – pracę w biurze. A co najważniejsze, był dobrym kolegą i zawsze ich krył. Nigdy się na nim nie zawiedli. Dlatego to, co usłyszeli tamtego dnia przed paroma tygodniami, sprawiło, że mały świat, który stworzyli, zatrzymał się w miejscu. Filip zaniemówił. Patrzył na niego, próbując wyczytać coś z jego spojrzenia. Dominik powiedział na koniec:

– Będzie mi tego brakowało, serio. Ale nie dam rady tu dłużej siedzieć. Coś we mnie pękło.

Noga Igora ruszała się szybciej, zacisnął obie pięści. Miał ochotę przekląć, może krzyknąć po tym, co wszyscy razem przeszli, ile przeżyli, ile przegadali, śmiali się, a może miał ochotę komuś zwyczajnie przywalić, ale ostatecznie nie zrobił nic. Nie odezwał się.

Filip wyłączył komputer, zamknął wszystkie dokumenty z biurka do szuflady, podszedł do Dominika, ścisnął mu mocno dłoń, długo przytrzymał, szepnął coś do ucha i wyszedł z biura.

Nastała wtedy cisza. Pamiętał ten dzień jak dziś.

Dzwonił później do Filipa, ale kolega nie odebrał. Dzwonił jeszcze kilka razy, ale bez skutku.

Pojechał wieczorem do jego domu, ale nikogo nie było. Następnego dnia nie było go na komendzie. Zadzwoił do Oli. Powiedziała, że jest z Marcelem poza domem i od jakiegoś czasu go nie widziała. Następnego dnia Filipa również nie było w pracy. W domu też. Poszedł do kadr, by zapytać, co się dzieje, ale nie uzyskał żadnych informacji. To był trudny czas. Wypowiedzenie Dominika ze skutkiem natychmiastowym. A niemal zaraz potem zniknięcie Filipa.

Pewnego dnia wydarzyło się coś, co wstrząsnęło komendą. Jeden z najważniejszych policjantów wydziału do spraw walki z przestępczością samochodową, Krzysiek Korzeniowski, ich dobry kumpel, który od wielu miesięcy rozpracowywał grupę zajmującą się kradzieżą luksusowych samochodów na terenie Kłodzka i okolicy, uległ bardzo poważnemu wypadkowi podczas pościgu za jednym z najbardziej nieuchwytnych złodziei. Wszystko wydarzyło się za Kłodzkiem. Ścigające się po wąskich drogach dwa pojazdy z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę przecinały kolejną podgóorską miejscowość. Obaj zbyt wiele ryzykowali. Ścinali zakręt za zakrętem, miejscowość za miejscowością. W pewnej chwili rozpedzony kradziony Mercedes zahamował tak gwałtownie, że jadący za nim samochód, za którego kierownicą jechał Korzeniowski, nie zdążył wyhamować i wbił się z ogromną prędkością w bagażnik AMG. Czarny policyjny Opel został niemal zmiądzony. Mieszkańcy pobliskich domów musieli słyszeć potworny huk i trzask prasowanej blachy i plastikowych elementów świateł, zderzaków. Korzeń utknął w pojeździe i był zakleszczony jak w śmiertelnej pułapce. Miał zgniecione nogi, nie był w stanie się wydostać. W pobliskim domu rozświectliły się okna. Jeden ze świadków powiedział, że kierowca Mercedesa wysiadł z auta i podszedł do roztrzaskanego czarnego Opla. Rozejrzał się. Dookoła leżały odpryski świateł, zderzaków, szyby. Z policyjnego Opla ciekł olej, parowała woda

z chłodnicy. A właściwie czegoś, co po niej pozostało. Złodziej z Mercedesa ubrany w ciemną bluzę z kapturem i z zaciągniętą maską na twarzy podszedł do kierowcy. Popatrzył na zdeorientowanego policjanta, który mówił coś niezrozumiale. Bełkotał. Był w takim szoku, że nie mógł wydusić z siebie żadnego składnego słowa. Coś do siebie powiedzieli. Trwało to może paręnaście sekund, po czym tamten wrócił do rozbitego, choć sprawnego Mercedesa i ruszył przed siebie w gęstą czern.

Pierwszy radiowóz zjawił się na miejscu wypadku dopiero po trzynastu minutach. Potem zjechały się kolejne, wraz z innymi służbami. To, co wydarzyło się tamtej nocy, zmroziło wszystkich. Z kilku powodów: tego, że Krzysiek działał sam, więc nie miał żadnego wsparcia. Nikt nie wiedział, że tej nocy planował akcję na własną rękę. Dziwne było też to, że nie dało się ustalić, kto tak naprawdę wezwał pomoc. Zastrzeżony numer, z którego zadzwoniono pod sto dwanaście, od tamtej pory był nieaktywny. Funkcjonariuszy przeraził stan kolegi. Specyficzne i dość mocno zróżnicowane środowisko policjantów, samców alfa, wulgarnych alkoholików i spokojnych biurokratów, ludzi przewijających tonę papieru dziennie, naliczających każdego dnia mandaty na ulicach, wyjątkowo – jak nigdy – połączyła solidarność zawodowa. Wszyscy mówili tylko o tym zdarzeniu. Pod szpital kłodzki zjechali się niemal wszyscy policjanci. Wszyscy czuwali przy sali operacyjnej, na której ratowano ich kolegę. Człowieka, na którego zawsze można było liczyć, który nigdy nikomu nie odmawiał pomocy – oddanego robocie w równym stopniu co rodzinie, żonie Marcie i niedawno narodzonej Tosi. W szpitalu kłodzkim dosłownie zaroilo się od policjantów, którzy byli przy Korzeniu. Bo tak wypadało. Bo taką mieli potrzebę i to było jedyne, co mogli zrobić w tej sytuacji. Policjanci jak nigdy dzielili się obowiązkami, umawiali na czuwanie w szpitalu, w trakcie i po operacji. Uznali to za zbiorowy, nienazwany i nigdy niewyartykułowany punkt honoru.

Blisko czterdzieści osiem godzin po opuszczeniu sali operacyjnej Krzysiek po raz pierwszy otworzył oczy. Nic nie mówił. Nie wiedział, co się działo. Lekarze nie byli nawet pewni, czy odzyskał świadomość. Niedługo potem znów zapadł w głęboki sen. Wezwano lekarza, który kazał wszystkim opuścić salę. Kiedy Igor wychodził z sali po kawę, zobaczył idącego po korytarzu kolegę ubranego w czarną bluzę z kapturem, spod którego wystawał daszek bejsbolówki. Krzyknął po niego, ale nie zdążył. Filip wszedł do windy. W tym czasie Igor zbiegł szybko po schodach i wyszedł ze szpitala w pośpiechu. Stał przy czerwonym Jaguarze Filipa. Kumpel na niego czekał, stojąc ze splecionymi rękoma.

– Możesz mi powiedzieć, co ty odpierdalasz?

– O co ci chodzi?

– Unikasz moich telefonów, nie ma cię w robocie. Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje, odsuń się – odpowiedział, naciągając mocniej na głowę kaptur.

– Filip, co się dzieje, do kurwy nędzy?

– Możesz się odsunąć?

– Nie zrobię tego, dopóki nie powiesz, o co chodzi.

– Nie jestem w nastroju do rozmów. Wystarczy?

– Jeśli mam być szczerzy, to nie wystarczy. Znamy się tyle lat, a od paru dni zachowujesz się, jakbyśmy byli dla siebie obcymi ludźmi. Po tym, co razem przeżyliśmy, masz, kurwa, czelność mówić „nie mam nastroju”? Serio? Zrobiłem ci coś? Powiedziałem? Uraziłem cię? Nie zadzwoniłem na twoje urodziny? Albo Marcela? Albo Oli? Ukradłem ci coś? Powiedz mi, do cholery.

Filip się nie poruszył. Wpatrywał się w niego spod ciemnego daszka, który przysłaniał mu oczy. Popatrzył na samochód, którym jeździł już coraz rzadziej, bo nie dało się nim poruszać incognito. Obejrzał się za siebie. Obserwował miejsce, ludzi,

otoczenie. Cztery radiowozy. Dalej, za nimi i między zwykłymi cywilnymi, kilka aut policyjnych do robót operacyjnych. Świat, który doskonale znał, który przenikał go w całości. Od stóp do głów. Ludzie, rozmowy, kontakty, relacje, układy. Czuć tu było psa bardziej niż pod komendą. A teraz wszystko skupiło się w tym miejscu.

Krauze skinął nieznacznie, dając znak. Schowali się za rogiem kamienicy. Obejrzał się, odczekał chwilę.

– Od jakiegoś czasu jestem na zwolnieniu lekarskim. Musiałem zniknąć wszystkim z oczu. Z paru powodów.

– Z jakich?

– Wystarczy, że wyjawię ci jeden i nie dopytuj o resztę, okej? Nie możesz się wygadać. Nikomu, jasne?

– Komu i z czego?

– Chociażby tym, których mijasz na korytarzu szpitala i którzy tak bardzo oplakują Korzenia.

– Nie kumam.

– Wiem, że nie kumasz. Po prostu nie wszystkim można ufać.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odpowiedział, nie do końca pocieszony tym, co usłyszał.

– Nie możesz pisać ani słowa. Ani Byczewskiemu, ani Borkowi.

– Spoko, luz.

– Nie „luz”, tylko nikomu. Obiecuj albo znikam.

– Obiecuję.

Filip skinął głową, ale był to niemal niedostrzegalny ruch.

– Natrafiłem na ich ślad. Na razie nie wiem, co z tego wyjdzie, ale jest szansa, że do nich dotrzemy.

– „Do nich” to znaczy do...

– Tych przeklętych skurwieli, którzy mu to zrobili. To obiecujący trop. Pracowałem nad nim od jakiegoś czasu, ale dopiero wczoraj namierzyłem miejsce, do którego mógł uciec ten gość.

Igor podrapał się po głowie. Fakt, nie wszystko rozumiał. Może z wiekiem stawał się mniej kumaty, może miała też na to wpływ liczba uderzeń w głowę, jakie przyjął w swoim życiu.

– Powiedz mi, Filip, tak naprawdę – zaczął poważnym, choć nieco ściszonej tonem – czy ty walczysz z nimi tylko dlatego, że doprowadzili Krzyśka do takiego stanu, czy walczysz ze złodziejami samochodów, bo nagle postanowiłeś zamienić kryminala na samochodówkę, czy z jeszcze jakiegoś powodu?

– Nigdy mnie nie interesowali złodzieje samochodów, o czym obaj dobrze wiemy. Tyle że to nie są ludzie, którzy kroją tylko luksusowe fury. To ludzie, którzy mają sporo na sumieniu. Mam wiedzę, która wymaga weryfikacji. Paru z nich ma ostre pobicia na koncie. Jeden, szczególnie niebezpieczny, znęcał się nad kobietą i rodziną. Ale szukamy też gościa, na którego w środowisku mówią Bawół, on może coś wiedzieć, bo ma na koncie nie tylko samochody, ale dopalacze, sterydy, dziewczyny.

Igor zamknął oczy i zrobił się czerwony, jakby ktoś go uderzył w twarz.

– Mów, co wiesz.

Filip rozejrzał się dokoła, również za siebie.

– Nie tu i nie teraz. Nie dzwoń i nie jedź za mną. Jutro wysłę ci wiadomość. Bądź gotowy – powiedział, po czym klepnął go po ramieniu i zniknął.

* * *

Wiadomość od Filipa była krótka, ale oczywista. Igor doskonale rozumiał ten zdawkowy styl komunikacji. Krauze używał tylu słów i zdań, ilu należało użyć. Ani jednego zbędnego. Ruszył starą czerwoną Hondą pod wskazaną lokalizację. Nie był to precyzyjny adres, tylko wskazanie, że ma zatrzymać się za parkingiem za jedną z przygranicznych miejscowości.

Kiedy dotarł na miejsce, zadzwonił, ale kolega nie odebrał. Nie oddzwonił. Musiał czekać. Robiło się ciemno. Co chwilę widział mijające go auta, jedno za drugim. Po parunastu minutach walenia nogą w rytm niesłyszalnej muzyki, usłyszał stukanie w okno. Igor poruszył się, ale nie zdradził, że się wystraszył. Po prostu cisza i ciemność robiły w tym miejscu odpowiedni podkład dla zmęczonych zmysłów – wyciągały to, co w człowieku najczulsze i najdelikatniejsze. Nawet z niego.

Filip kazał mu wysiąść. Przeszli do ukrytego w leśnym zajeździe drugiego auta, którego nigdy wcześniej nie widział. Nie był to Jaguar Krauzego, lecz zdezelowana Toyota. Ruszyli nią ubitą drogą w głąb lasu. Po kilku kilometrach wyłoniły się rozległe pola, a potem znów wjechali do lasu. Igor się nie odzywał. Trwał w tej przepelnionej milczeniem jeździe. Autem bujało na każdym wgłębieniu i wzniesieniu. Słyszał szorowanie podwozia o wystające między ziemistymi pasami trawy kamienie. Miejsce zapomniane przez ludzi. Królestwo dzikich zwierząt. Leśnych mar. Wielkich czarnych drzew, które rzucały pod wpływem bujających się światła ogromne cienie.

W pewnym momencie Filip przyhamował, zgasił światła, otworzył na oścież wszystkie okna, ale się nie zatrzymywał. Igor wciąż się nie odzywał, bo wiedział, że teraz jego kumpel będzie jechał na słuch. Już kiedyś tak robił. Nie było widać niczego, choć po jakiejś minucie oczy przyzwyczyły się do niemal całkowitej ciemności. Ujrzeli nieznacznie rozgwieżdżone niebo. Co jakiś czas zza chmur wyłaniał się księżyc. Dojechali ze zgaszonymi światłami przez leśną drogę. Tuż za lasem Filip zatrzymał auto, wyłączył silnik. W środku pojazdu zapanowała idealna cisza.

– To tu? – zapytał ściszym głosem.

Krauze nie odpowiedział.

– Co jest? Możesz mi wreszcie powiedzieć? Zacząłeś się bać w leśnego ducha? W harcerza?

– Zamknij się wreszcie – wyszeptał przez zaciśnięte zęby – bo wszystko spierdolisz. Od jakiegoś czasu ich obserwuję. Poświęciłem zbyt wiele, byś mi to teraz spieprzył. Albo działasz na moich zasadach, albo wracaj do domu i nie zwracaj mi dupy.

– Co się z tobą stało, Filip?

– Moja praca czasami wymaga więcej niż chodzenie po ulicach, czytanie akt czy gapienie się w ekran komputera.

– Wiem, ale zamieniłeś się w pustelnika. Nigdy nie zostawiłeś rodziny. Nigdy nie wyprowadziłeś się z domu dla sprawy. Przeginasz. Za bardzo się odkleiłeś, wiesz o tym?

– Wytropienie ich wymaga poświęcenia. Ale myślę, że warto – odpowiedział cicho.

Igor chwilę patrzył w ciemną twarz Filipa, człowieka, za którego oddałby wszystko, któremu ufał jak nikomu innemu, i próbował wyczytać coś z jego czarnych oczu, czekał, aż powie coś jeszcze, aż zażartuje, zaśmieje się, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Wreszcie nieznacznie potaknął. Wiedział, że Filip jest nieugięty. Albo będzie grał z nim, albo nie powinien mu przeszkadzać. Zrozumiał, że tutaj nie ma żadnych „pomiędzy”.

– Okej, działałem z tobą. Czemu się tu zatrzymaliśmy?

– Tam mają swoją dziuplę. To jest jedyna droga dojazdowa. Nikt nas nie może zobaczyć, bo wszystko pójdzie na marne, a oni znajdują inne miejsce. Nie możemy się zdradzić.

– Jaki masz plan?

– Musimy się trzymać w cieniu i ustalić, jak często pojawiają się samochody. Z jaką częstotliwością tu docierają i z jaką znikają w kawalkach. To ważne, bo dzięki temu określimy, czy jest to tylko podrzędna, czy poważniejsza dziupla. Jeśli ta druga, to znaczy, że pojawiają się tu poważniejsi kierowcy i może robią tam ważniejsi ludzie. Od nich trafimy do paserów. Rozumiesz, że jeśli teraz popełnimy błąd, to pójdzie na marne cały trud? Samochodówki, jego, mój.

Igor potaknął na znak, że rozumie, o jaką stawkę toczy się gra.

– Ustalmy zasady. Nie wpierdalasz się nigdzie z pięściami. Nie działasz sam. Czy to jasne? – zaakcentował, przeciągając ostatnie słowo.

– Co ustaliłeś do tej pory? – odparował bez odpowiadania na pytanie.

Filip obrócił opatuloną w kaptur głowę i popatrzył przed siebie, w ciemność, którą delikatnie rozświetlały światła oddalonej zabudowy gospodarczej. Było to siedlisko złożone z kilku starych budynków – dwie ogromne poniemieckie stodoły z zabudowanymi dechami wjazdami na pojazdy, długi budynek mieszkalny wraz z doklejoną starą stodołą oraz garażami.

– Pojawiają się tu dwa do trzech aut tygodniowo. Głównie Audice, Mercedesy. Widziałem jedną Toyotę, ale pewnie skroili ją przy okazji. Za każde auto średniej klasy mają kilkadziesiąt tysięcy, za Mercedesy od setki wzwyż. Za takiego, jakiego gonił Korzeń, podejrzewam, że znacznie więcej. Interes się kręci. Z naszych danych wynika, że w rejonie znika od jednego do trzech czy czterech na dobę. Biorąc to pod uwagę, w tej dziupli upłynnia się większość z nich. Ale podejrzewam, że są też inne w rejonie. Nie wykluczam, że mają jeszcze jedną lub dwie awaryjne – wyjaśnił cicho.

– W porządku, ale czemu robisz z tego taką tajemnicę?

– Jeśli ktoś się dowie, że mamy ich na oku, znikną. I znów pójdzie się walić wiele miesięcy pracy.

– Krzysiek ci powiedział?

– To nie ma żadnego znaczenia, skąd wiem. Krzysiek mi powiedział, żebym uważał, bo mają kogoś swojego na komen-dzie. Dlatego o tym miejscu wiesz tylko ty. Korzeń mi wspom-niał o dziupli na północny zachód od Kłodzka, bliżej granicy z Czechami. Wziąłem zwolnienie i siedziałem nad tym całymi dniami. Wiesz, ile czasu zajęło mi szukanie miejsc, w których

można ukryć co najmniej dwa lub trzy auta, tak by żaden sąsiad nikogo ani niczego nie zauważył? Analizowałem setki albo tysiące lokalizacji. Skupiłem się na pojedynczych zabudowaniach. Odhaczałem miejsce po miejscu, biorąc pod uwagę kryteria, że musi to być odludzie z dobrym dojazdem. Odpowiednio oddalone od pozostałych domów. Odpowiednio osłonięte ścianami budynków. Z dobrą i szybką ucieczką za granicę.

– Znalazłeś to miejsce, analizując mapy?

– Nie tylko, powiedzmy, że byłem na bieżąco z tym, co się dzieje na mieście. Korzeń nie mówił mi wszystkiego, ale kiedy niedawno wpadliśmy na siebie, powiedział, że niedługo zrobi się gorąco i może dojść do kilku ostrych akcji. Wiedział, że grupa ma zlecenia na Merce. Podobno z Kłodzka miały zniknąć tylko te auta. Ktoś się wygadał, że mieli zlecenia na parę nówek. Tak się składa, że mój dawny znajomy znał kogoś, kto kupił grafitowego AMG. Spotkałem się z nim. Zrobiliśmy małą zasadzkę. I wtedy zdarzyło się niespodziewanie to, o czym wiesz.

– Wypadek z Korzeniem?

Filip nieznacznie potaknął i się zamyślił. Widać było, że bije się z myślami i coś go gryzie.

– Najgorzej, że częściowo brałem w tym udział, ale nikt o tym nie wiedział.

– Co?

– Byłem tam, kiedy to się stało. Obserwowałem to miejsce. Pojechałem za nimi, ale ich zgubiłem. Dałem dupy, bo ich nie dogoniłem. Próbowalem się z nim skontaktować, ale nie odpowiadał.

– Korzeń ścigał tego złodzieja – dopowiedział Igor.

– Tak. I dopiero po jakimś czasie dowiedzieliśmy się wszyscy, jak to się stało.

– Ja pierdołę, co za syf – wysyczał Igor, odwracając głowę, by spojrzeć w boczne okno. Bił się z myślami, analizował.

– Wiem. Wiem, że syf. Ale z uwagi na to, jak daleko to zaszło i ile wszyscy zrobili, nie mogłem atakować od razu. Dlatego musimy być ostrożni, by nakryć ich na gorąco. Mają idealną dziuplę, praktycznie zero domów dookoła. Wtedy, kiedy doszło do wypadku, udało mi się wykluczyć ponad połowę domów, w których mogą być dziuple. Złodziej sam wskazał nam kierunek. Zdradził go zwykły instynkt ucieczki do bezpiecznego miejsca. Przeanalizowałem miejsce wypadku i drogę, którą jechał. I analizowałem, dokąd mógł jechać. Sprawdziłem dziesiątki kierunków, miejscowości. I tak, po wielu dniach, wytypowałem parę miejsc. Potem poświęciłem kilka dni na to, by każde z nich obserwować. Pewnego dnia zobaczyłem, jak przez ten właśnie las przejechało dobre auto. Następnego dnia kolejne. Rozumiesz?

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

KIEDY GRANICA MIĘDZY PRAWEM I ODWETEM NIEBEZPIECZNIE SIĘ ZACIERA

Rutynowy pościg za złodziejami samochodów kończy się poważnym wypadkiem z udziałem policjanta. Dla śledczych z wydziału kryminalnego, Filipa Krauzego i Igora Fijałkowskiego, sprawa przestaje być jedynie kolejnym dochodzeniem. Podążając tropem przestępców, trafiają do świata, gdzie lojalność ma najwyższą cenę. Ich przeciwnicy są bezwzględni i eliminują każdego, kto może im zagrozić – nawet we własnych szeregach. Im bliżej prawdy znajdują się śledczy, z tym większym zagrożeniem się mierzą. W tym starciu ciemność nie tylko skrywa zło, ale potrafi je również pochłoniąć.

N.C.

Nr 21000364/D0

ISBN 978-83-68758-63-4



9 788368 758634



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł